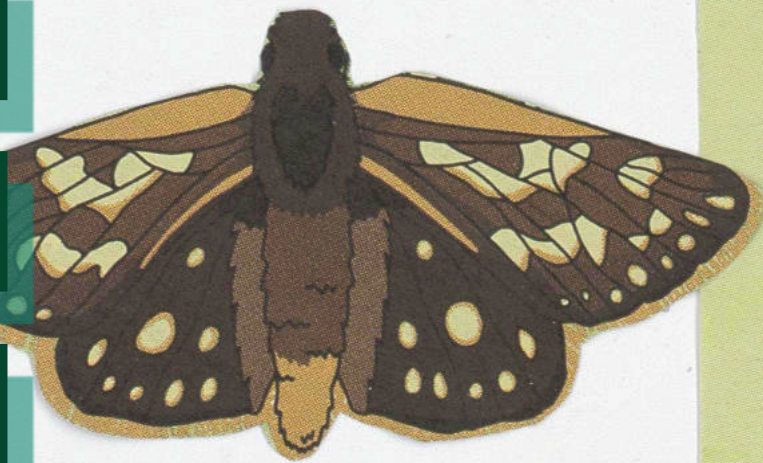


wypowiedzieliśmy babce
kosimy ją i usuwamy z trawy
aby wyglądały jak gładka
z aksamitu. Niszcząc babkę
i uparcie kosząc trawę
utrudniamy przetrwanie
pięknemu gatunkowi
motyla.



Chwile ukojenia

KONICZYNA ŁĄKOWA
(*Trifolium pratense*)

...r rycin holenderskiego
...wersytetu w Wageningen
...ze postawić na głowie
...ze w...
...raczej – do góry korzeniami.

Przedstawiono tam rośliny wraz
z ich częściami podziemnymi

BABKA LANCETOWA
(*Plantago lanceolata*)

Port Praski

Wstęp

Pomysł warsztatów etnograficzno-artystycznych w Porcie Praskim zrodził się z silnej potrzeby udokumentowania tego miejsca na krótko przed jego unicestwieniem. Zgodnie z planami, na terenie dawnych doków portowych ma powstać duże osiedle mieszkaniowe. Fragment zielonej, „dzikiej” części Portu zostanie „uporządkowany” i „udostępniony” ludziom, którzy jednak odtąd będą mogli korzystać z niego tylko w ramach takiej puli aktywności, jakie będą dla tej przestrzeni przewidziane. Trudno też przewidzieć, jaki będzie los innych tworzących Port istnień. Miała to być zatem antropologia nagląca, skromna w swych rozmiarach, ale nie pozbawiona znaczenia interwencja w procesy kształtujące przestrzeń Warszawy.

To, co wydawało nam się w zjawisku Portu Praskiego najważniejsze, to że jest on miejscem spontanicznie współtworzonym przez różnych miejskich aktorów: zarówno ludzkich, jak i nie-ludzkich. To między innymi aktywnie przekształcane siedlisko bobrów: są tu żeremie oraz liczne nadgryzione lub ścięte drzewa. Wszędzie rozwija się spontaniczna roślinność o dużym stopniu różnorodności.

Z miejsca tego korzysta wielu ludzi. Mimo że teren został przez dewelopera ogrodzony, właściwie ciągle toczy się w nim większy lub mniejszy ruch. Lokalsi przychodzą łowić ryby, napić się piwa lub czegoś mocniejszego, posiedzieć na słońcu lub na trawie, grillować, piknikować. Ze starych elementów portowych albo innych odpadów (często zawleczonych) ludzka kreatywność tworzy fascynujące urządzenia do spędzania wolnego czasu. Beczki służą za stół, pojawiają się skądś kanapy, fragment nabrzeża wyłożony jest dywanami, gdzieś ze starych sznurków ktoś wyplótł hamak. Na samym środku jednego z doków powstał szałas z elementów blaszanego ogrodzenia, postawionego niegdyś przez dewelopera. Przynajmniej przez jakiś czas był zamieszkany. Przez swoją aktywność ludzie odciskają ślady w środowisku naturalnym, przekształcają je, czasem niszczą. Położone pod jednym z drzew palenisko do wytapiania miedzi z kradzionych kabli z daleka można poznać po tym, że część liści – poparzonych od ciepła – jest nad nim uschnięta.

Deweloper twierdzi, że miejsce to jest „niedostępne” i wymaga „rekultywacji”, ale jego niedostępność w największym stopniu generują postawione przez niego ogrodzenia. Są one zresztą przez użytkowników Portu sukcesywnie demontowane. Ich upór w wynajdywaniu coraz to nowszych sposobów, by obejść coraz to nowsze bariery, świadczy o tym, że miejsce to – takie jakie jest – odpowiada na ważne potrzeby niemałej grupy ludzi, chcących korzystać z niego kreatywnie i po swojemu. Tymczasem to, co proponuje deweloper, to skanalizowanie sposobów użytkowania tego miejsca, uczynienie go przestrzenią „zaprojektowaną”, „zadbaną” i w pełni kontrolowaną. Wyklucza to możliwość jego dalszego spontanicznego współtworzenia w takich formach, jakie miały miejsce do tej pory i które były – w naszym przekonaniu – cennym dziedzictwem Warszawy.





Czy miejsce potrzebuje granic?

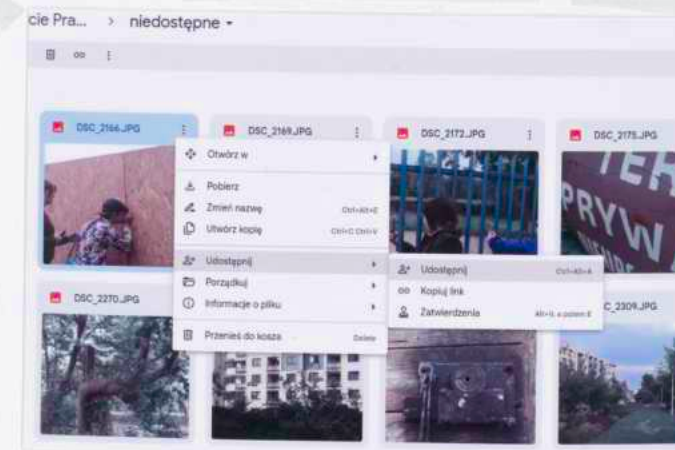


Ale po chwili okazuje się, że pod tą fasadą nieprzystępności kryje się przesympatyczna



MIEJSCA

Rola antropologii w otwieraniu



"Inny świat jest możliwy"



zwierzęta wkradają się

Wszędzie dobrze, ale

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

Mikołaj Witkowski

Port od dawna wzbudzał moje zainteresowanie, odwiedziłem go wcześniej dwa razy i zawsze wychodziłem oszołomiony bogactwem tworzącego go życia. Zrobienie w nim jakichś działań dokumentacyjnych lub artystycznych było moim marzeniem – dlatego zaproponowałem go jako przestrzeń dla organizowanych przy okazji konferencji studenckiej warsztatów. W kilka dni potem z przerażeniem obserwowałem, jak do Portu wkracza ekipa budowlana i zaczyna likwidować stare blaszane ogrodzenie. W jego miejsce zaczął powstawać solidny, osadzony na zabetonowanych palach płot z płyt OSB. Działo się to w marcu, kiedy do konferencji było stosunkowo daleko, a my musieliśmy zaakceptować fakt, że nie wiemy, co się z tym miejscem będzie działo przez czekające nas dwa miesiące. Był to czas niepewności i oczekiwania. Płot stanął i trwale – jak się wydawało – odgrodził przestrzeń Portu od jego dotychczasowych użytkowników. Wcześniej, kiedy istniało ogrodzenie blaszane, była w nim również dziura: szerokie przejście, przez które codziennie przechodziło mnóstwo osób, by łowić ryby, napić się piwa, wódki, pogrillować, wytopić miedź z kradzionych kabli lub w inny – nie zawsze dobry – sposób spędzić czas w ustroniach Portu.

Teraz dziury nie było, powstała jednak ścieżka wiodąca od metalowej barierki, którą można było jeszcze przeskoczyć. Tą drogą wszedłem do Portu po raz drugi – na wiosenny zwiad w kwietniu.

Jaka była moja radość, gdy w okolicach Wielkanocy zobaczyłem wyłom w nowym płocie: wielką dziurę po wyrwanej z potężną siłą płycie OSB. Bramy Raju znów zostały otwarte dla jego nieformalnych, „nielegalnych” mieszkańców. Pomyślałem wtedy „Niech żyje Wolny Port Praski!” - i rozesłałem z radością zdjęcie wyłomu znajomym.

W dniu warsztatów weszliśmy do portu przez ten sam – niezałatany po dziś dzień otwór – by w strugach deszczu słuchać tego, co o Porcie i współtworzącej go roślinności miała nam do powiedzenia Iwa Kołodziejska. Zaprosiliśmy ją do poprowadzenia warsztatów, bo jak mało kto potrafi uczyć wrażliwości na nieludzkich aktantów w miejskiej przestrzeni. Zamknęliśmy oczy, słuchaliśmy dźwięków okolicy: wiatru, deszczu, liści, kół rozjeżdżających cienką warstwę wody na asfaltowej ulicy Zamoście. Było głośno.

Deszcz ustawał, a my mieliśmy właśnie kierować się w głąb najdzikszego, zielonego pirsu Portu, gdy przez Bramy Raju weszło do środka troje policjantów. Ucichliśmy w zawieszeniu. Była to długa chwila, podczas której widzieliśmy, jak patrol z lekkim wahaniem idzie jakby w bok, zdążyliśmy pomyśleć „uff, chyba nas nie ruszą”, zaraz jednak nastąpił zwrot: skierowali się prosto na nas i w krótkich słowach zażądali, abyśmy wyszli. „To teren budowy, nie widzi pani?” – powiedzieli na odchodne do Iwy, która podjęła ostatnią próbę przekonania ich do pozostawienia nas w spokoju. „Nie widzę” – chciała odpowiedzieć Iwa, ale ostatecznie dała spokój i wyszliśmy głośno rozprawiając o tym, co właśnie się stało. Było jasne, że ta (nie)zupełnie przypadkowa interakcja zdefiniowała charakter tych warsztatów. Wszystko, co się wydarzyło później, działo się za jej sprawą i było podbudowane naszym wewnętrznym sprzeciwem wobec tak namacalnego dowodu „uniedostępnienia” należącego do dewelopera Portu. W dalszej części warsztatów starałem się wykonać możliwie najwięcej fotografii, które byłyby bardziej lub mniej symbolicznym przetworzeniem owego „wypędzenia z raj”, zamknięcia, odgródzenia i zawłaszczenia przestrzeni, która – w moim przekonaniu – powinna trwać w tworzących ją spontanicznych procesach zamieszkiwania. To miejsce ważne nie tylko dla ludzi, ale też bobrów, kaczek, kun i lisów, nadto siedlisko ogromnej liczby roślin. Jego istotę wyraża to, że nie jest uregulowane. Żywie przekonanie że miasto potrzebuje takich nieregulowanych, pozostających w półcieniu miejsc. Inaczej samo staje się miejscem nieludzkim.





Ponieważ uznaliśmy, że patrol policji pojawił się w Porcie w ramach rutynowej kontroli – a nie ze względu na nas – zdecydowaliśmy się na jakiś czas oddalić i wrócić tam, kiedy radiowóz zniknie. Aby nie tracić czasu, skierowaliśmy się do przyległych Portowi pozostałości ogródków działkowych, tworzących wąski pas zieleni od strony ulicy Zamoyskiego. W większości były to ich rudymenty – obserwowaliśmy tam fundamenty altan, beczki do zbierania deszczówki, drzewa owocowe, „dziko” teraz już rosnące rośliny ozdobne. Z tej części spaceru utknał mi w pamięci wyodrębniony na ziemi ceglami niewielki okrąg, z posadzonym na środku uschniętym wrzosikiem. Chwilę dywagowaliśmy nad tym, czy jest to miejsce ogniskowe, czy może pozostałość działkowej rabaty, gdy zza naszych pleców wynurzył się starszy mężczyzna z psem. Zdenerwowanym głosem oznajmił, że jest to grób i mamy po nim nie deptać. Z krótkiej wymiany zdań wyniknęło, że to on pochował tu swoje zwierzę. Na troskliwe pytanie Iwy, czy był to piesek, odpowiedział sucho: „nie ważne, nie żyje”. Był bardzo zaniepokojony naszą obecnością, tym bardziej, że miałem na szyi aparat i przymierzałem się do zrobienia zdjęcia. Podeszedł do grobu, nogą zasypał znajdującą się obok dziurę w ziemi, chciał, żebyśmy jak najszybciej stąd poszli. Niedługo po jego odejściu i my ruszyliśmy dalej.

Drugim ważnym miejscem, do którego nigdy nie trafilibyśmy, gdyby nie policja (to jest to słynne antropologiczne serendipity!) była działka hodowcy gołębi. Znajdował się na niej rzeczony hodowca oraz jego kolega. W pobliżu kręcił się też pasierb właściciela, który – zapytany przez nas, czy moglibyśmy wejść – krzyknął „Ociec!”, wszedł, chwilę porozmawiał z ojczymem i zaprosił nas do środka. Panowie przeprosili nas, że piją piwo i skwapliwie zaczęli oprowadzać po gołębniku, zachęcając byśmy wszystko fotografowali, oglądali, dotykali itp. Sam właściciel zabrał się za wciskanie nam w ręce większych i mniejszych gołębi, łącznie ze świeżo wyklutymi pisklakami. Opowiadał o każdej rasie i o tym, jakimi zasadami kieruje się przy hodowli: że robi to z pasji, nie dla zysku, że nie zależy mu na „czystości krwi” itp. Drugi mężczyzna tłumaczył części z nas, jak wygląda stan prawny tych działek: że nie wiadomo do kogo one należą i jaka będzie ich przyszłość, że żyją w poczuciu niepewności i atmosferze plotek.

Z tego pobytu szczególnie zapadła mi w pamięć jedna scena, która miała miejsce już pod koniec naszej wizyty. Powtarzam ją ze względu na sekwencję ruchów – czy właściwie jednego ruchu – ręki tego doświadczonego hodowcy, który gdy dostrzegł, że jeden z młodych gołębi choruje i jest już właściwie w stanie letalnym, powiedział: „Już po bachorze” i – nim ktokolwiek zdołał się zorientować – wyjął go, trzepnął głową o stół i wyrzucił za płot, do Portu. „Takie się likwiduje. I tam lis albo łasica weźmie” – wyjaśnił. „Prawdziwy krąg życia” – zauważyła Ola i bardzo mi się ta myśl spodobała. Jest coś niezwykle w tym przejściu od pełnej czułości troski o swoje gołębie (chwilę wcześniej popychał jednego gołąbka mówiąc: „nie tędy Pimpusiu, tutaj Pimpusiu”), do mechanicznego „likwidowania” umierających osobników w tym liczącym 400 ptaków stadzie. A także w świadomości, że wyrzucając martwego gołębia za płot, domyka w pewien sposób cykl przyrody.

Chwilę później kolega naszego gołębiarza kazał mu skończyć, przypominając że „musi zaraz iść do pracy”. Wyszliśmy więc i wróciliśmy do Portu, gdzie nie było już policji, mogliśmy więc spokojnie go udokumentować i zwiedzić.



Gaja Trojanowska

Chodząc po Porcie Praskim, widziałam liczne przejawy ludzkiej aktywności. Po pierwsze – przedmioty. Ogromną część z nich w innych okolicznościach wzięłabym za zwykajne śmieci, tym razem jednak były dla mnie swojego rodzaju artefaktami. Każdy z nich opowiadał pewną historię, która się w Porcie wydarzyła. Niektóre były dość oczywiste – butelki i puszki, na przykład, niewątpliwie pozostały tam po alkoholowych libacjach (często będących nieodłączną częścią amatorskiego wędkarstwa). Inne były mniej spodziewane, ale również łatwe do wyjaśnienia – jak np. pudełko cieni do powiek, leżące obok resztek ogniska – choć nie wiem, czemu ktoś je tam zostawił, zdecydowanie pasowało do innych śladów plenerowej imprezy. W końcu były takie obiekty, które wciąż stanowią dla mnie zagadkę – do najlepszych przykładów należą plomba z urny wyborczej i mały pluszowy marynarz(?), które załączyłam do zina.

Większość dostrzeżonych przeze mnie ludzkich śladów łączyła się z jakąś formą rekreacji – co jednak kierowało pozostawiającymi je osobami? Czemu wybrały akurat Port Praski, łączący się z ryzykiem wyproszenia przez policję (o czym sami się przekonaliśmy na początku wizyty), a nie chociażby pobliskie nadwiślańskie plaże? I czemu po sobie nie posprzątały? Myślę, że paradoksalnie zaważyła tu właśnie kwestia (nie)dostępności miejsca. Z jednej strony, formalnie to odgradzony teren prywatny (i to podobno plac budowy, choć jej przejawów nie widać). Z drugiej strony, prawny status nijak nie przystaje do rzeczywistości, w której kontrola nad miejscem jest jedynie symboliczna (a po interwencji policji wystarczy poczekać na jej odjazd i wrócić przez tę samą dziurę w płocie). W efekcie Port Praski staje się swoistą ziemią niczyją, w której społeczne oczekiwania tracą swoją moc – a to z kolei przyciąga osoby chcące oderwać się od realiów życia codziennego.

obcy. Czas w świecie roślin płynie w zupełnie innym tempie.



WARCABNIK ŚLĄZOWIEC
(*Carcharias olceae*)
Bliskość motyli i roślin żywicielskich czasem wyrażona jest bezpośrednio w ich nazwie. Warcabnik ślązowiec to mały brązowy motyl, łatwy do rozpoznania po ubarwieniu – gdy się go znajdzie, leć nienależnie i trudno do z i doskonale i ziemi lub pla roślinności – takie tereny uwielbia. A skąd nazwa? Od ślązowatych, którymi żywią się gąsienice: ślązów, małw, prawosławu czy ślązówki. To w ich pobliżu proponujemy zacząć poszukiwania.

TYMOTKA ŁAKOWA
(*Phleum pratense*)
Trawa też może być cenna. Znamy z ogrodów chiński ozdobne. Miejsce też s czasem urokliwe, mają ro kłosy, ale rzadko te kwiaty widzimy. Miasta ich nie bo uculają (w przeciwnie do roślin dwuliściennych z kłk kwiatowych). Wsie ich nie lubią, bo miękkie, słodkie, pozytywne jędrnia drewniają po wykłoszeniu. Trawa jest więc koszoną maszyną i zbierana. To zabija larwy motyli. Krowy, wróć!



Kiedy jestem sam, często myślę:

GDZIE ZNALEŹĆ WŁASNY POKÓJ

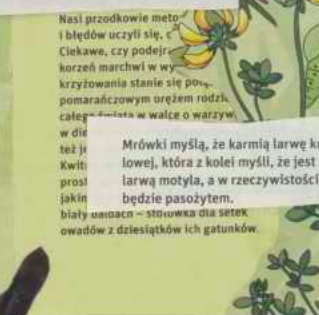


ŁĄKA POWSZĘCHNA

Z natury



DLA MOTYLI



TO JEST PIEKŁO

ZAPOMNIJ SIELANKACH



„Wszystko badajcie, co dobre zachowujcie”



NIE MOGLIŚMY SIĘ OPRZEĆ.



STOP CHWASTOM



NA ŁĄKACH ROZPROSZENIA



GŁOS lasu



Dodaj mi skrzydeł!



Z KURNIKA NA SALONY



W POSZUKIWANIU ODPREŻENIA



Chwile ukojenia



IRASZEK DAFNID
(*smotus daphnis*)
Wiele gatunków modraszków am trudno poznać, który jest Nie są duże, a na skrzydłach żyłki mniejsze niż 30 mm bardzo trudno policzyć planki. Zwalazcza w locie. Dafnid ma „falbankę” u dołu skrzydeł, które nie mają inne modraszki. Jest jednym z dowodów na nierozdzielność świata roślin i motyli. Jego jedyną rośliną żywicielską jest cieciorka pstra – nie ma cieciorki, nie będzie dafnidów.

Podobno Douglas Adams wymyślił „Autostopem przez Galaktykę” leżąc na łące gdzieś pod Innsbruckiem.



CIECIORKA PSTRA
(*Securigera varia*)
Cieciorka pstra jest rośliną wieloletnią. W internecie ma swoich hejterów – piszą, że to „przebiegły” i „agresywny” gatunek, który atakuje różnorodność, dając wiele kwiatów z miodem nektaru, a dzięki wymianie usług z pszczołami i trzmielami – wiele nasion. Taka gospodyni zapewnia również motylom i ich gąsienicom poczucie stabilizacji w niepewnych, kosiarzkowych czasach. Cieciorka pstra jest jedyną rośliną żywicielską modraszki dafnida.

Ten motyl nazywa się „lancetowatej” – rosnącej, zdawałoby się, na każdym trawniku. Tymczasem wypowiedzieliśmy babce wojnę: kosimy ją i usuwamy z trawników, aby wyglądały jak gładka narzuca z aksamitu. Niszcząc babkę i uparcie kosząc trawę utrudniamy przetrwanie pięknemu gatunkowi motyla.



BABKA LANCETOWATA
(*Piantago lanceolata*)



Józef Nowosielski

Posłusznie stosując się do prośby o to, aby w impresjach moich i wspomnieniach z naszego małego wypadu pominąć zupełnie wątek gołębiarski, zaznaczę, że pominięcie to nie wynika jedynie z niechęci do monotematyczności i nudy. Z powodów zupełnie dla mnie niezrozumiałych ostatnie kilka tygodni mija w moim życiu pod znakiem ptasich spotkań i gołębie – mimo swojej bezsprzecznej fantastyczności – jakoś nikną w tym opierzonym tłumie. Równie istotne jest jednak to, że myśląc o tym naszym krótkim najściu na teren budowy (i to jeszcze – o zgrozo – prywatny!) w ogóle nie przychodzą mi na myśl jakieś bardzo konkretne spotkania, odkrycia czy spostrzeżenia.

Nie, żeby konkrety w ogóle się w mojej pamięci nie zapisały. Wręcz przeciwnie, mam ich w głowie pełno – od spotkania oko w oko z majestatem władzy, po krzaczki kalin (do których mam dziwną słabość), psie groby i czereśnie. Rzec jednak w tym, że najbardziej zapadającą w pamięć wydaje mi się po prostu chaotyczna różnorodność tego miejsca.

Pierwszy raz (choć może wstyd się przyznać) w Porcie byłem jakoś pod koniec marca (dzięki Mikołaj!) i podobnie jak wtedy i tym razem zafascynował mnie drzemiący w tym miejscu potencjał do bycia odkrywanym. Cecha, której zupełnie niemal brakuje uporządkowanym miejskim przestrzeniom po euroremencie.

Na pierwszy rzut oka w porcie nie ma za bardzo co odkrywać – brak tam czegoś przyciągającego uwagę... jakiejś opuszczonej fabryki, bunkrów, piwnic czy też jakichkolwiek innych monumentalnych elementów krajobrazu, ale to właśnie ten brak zmusza do rzucenia okiem po raz drugi. Mógłbym oczywiście rozpisywać się tutaj o różnorodności zamieszkujących czy też odwiedzających to miejsce aktorów. Jeśli jednak mam być szczery, to najbardziej grzeje mnie nie tyle różnorodność sama w sobie, co raczej to, jak miejsce to na nią uwrażliwia. Samo już w nim przebywanie wymaga pewnego zaangażowania i otwiera drogę do odkrywania – możliwe, że zanim jeszcze zorientujemy się, że jest coś do odkrycia.

Przestrzeń portu, zmuszając do ostrożnego stawiania kroków, zamienia spacerowanie w najprawdziwsze szwendactwo. Zupełnie inny rodzaj interakcji z przestrzenią – wymagający podnoszenia wysoko kolan i przechodzenia po chyboliwych kłodach przez podejrzone wodne ciekły. Inaczej przecież patrzy się (a przynajmniej ja patrzę) spacerując powoli chodnikiem (czy leśną ścieżką), a inaczej gdy rzeczywistość zmusza do szerszego otwarcia oczu, chociażby po to, by nie wdepnąć na minę (psią, kocią, ludzką... you name it). Wypatrując dziur, kawałków szkła czy zagrożeń dla czystości podeszw zwiększamy swoje szanse na dostrzeżenie innych, zupełnie niegroźnych dla obuwia, fragmentów rzeczywistości. Pozorna niedostępność tak naprawdę czyni zatem świat znacznie bardziej dostępnym,

Nie oznacza to oczywiście, że jestem zwolennikiem stawiania płotów tylko po to, aby można je było przeskakiwać. Chyba najważniejszą refleksją, którą wyniosłem z tej naszej krótkiej i deszczowej wizyty, jest silne przekonanie, że takie „niedostępne” przestrzenie powinny być udostępnione. Albo przynajmniej po prostu być – pozostać na swoim miejscu, mimo tego, że czasem raczej śmierdzą, niż pachną.



Aleksandra Tarka

Port Praski jest nam potrzebny. Dlaczego?

Moje pierwsze skojarzenie z Portem Praskim to dzika, bezludna wyspa. Wyspa, na którą wchodzi się przez dziurę w ścianie ze sklejki (dziura ta szybko zostaje załatana, ale wkrótce ktoś znów ją wytnie). Po jej przekroczeniu nagle trafiamy do przestrzeni pozornie odciętej od świata, od ludzi. Znika szum samochodów, zgiełk cywilizacji, a w jego miejsce pojawiają się odgłosy niehumanicznych mieszkańców. Słychać śpiew ptaków, trzepot skrzydeł, buczenie owadów, plusk wody. Miałam wrażenie, że wchodzę do postindustrialnego rajskiego ogrodu.

Ale czy rzeczywiście jest to dzika, bezludna wyspa? Wystarczy się rozejrzeć, by dostrzec ślady obecności człowieka: paczki po papierosach, zabawki, ubrania, butelki, resztki opakowań po przynętach wędkarskich. Zielony kubek po kawie z Żabki. Gdy weszliśmy na teren portu, wydawało się, że byliśmy tam tylko my, grupka ciekawskich studentów i studentek. Jednak gdy wychodziliśmy, przestrzeń zaczęła się wypełniać. Ktoś przyjechał na rowerze, ktoś wszedł z dużą plastikową skrzynką, ktoś inny przyszedł z wędką. Nie powstrzymał ich ani zakaz wejścia, ani ściana ze sklejki, ani ryzyko spotkania z patrolem policji, który napotkaliśmy już w ciągu pierwszych dziesięciu minut od wejścia.

Policjanci pełnią tutaj niewdzięczną rolę, strażników wyspy, która ma zostać zastąpiona projektem osiedla mieszkalno-usługowego. Port został objęty specjalnym procesem – procesem gentryfikacji. Zamiast dzikości i spontaniczności, przestrzeń ma przeobrazić się w idealnie wykrojoną enklawę dla idealnie wyprofilowanego mieszkańca. Nie będą nimi ani mili panowie gołębiarze, których mieliśmy okazję spotkać, ani przypadkowy mężczyzna na rowerze, wybierający się na popołudniowe wędkowanie przy puszcze piwa.

Nie mogę się pozbyć wrażenia, że to, co widzieliśmy, i to czego doświadczyliśmy pokazuje, że potrzebujemy miejsc nieujarzmionych przez miasto. Spontanicznych, oddolnych, zielonych i wolnych. Gdzie można usiąść, spotkać się, odciąć od świata? Gdzie ludzie sami aranżują przestrzeń - indywidualnie, spędzając czas, spontanicznie się spotykając.

Jeśli miasto, próbuje je odebrać i odgrodzić płotem, ludzie ten płot przeskoczą albo wyłamią w nim otwór. Jeśli istnieje realna potrzeba i ludzie korzystają mimo zakazów z tego miejsca, czy to nie jest sygnał, że to miejsce jest potrzebne? Że ludzie chcą tam spędzać czas, odcięci od zewnętrznego zgiełku, otoczeni przyrodą, szumem liści, śpiewem ptaków? Czy każdy metr kwadratowy miasta musi zostać zalany betonem i służyć ludziom do życia?

Może potrzebujemy więcej „bezludnych wysp”.







Prowadząca: Iwa Kołodziejska

Uczestnicy warsztatów: Marta Bareja, Józef Nowosielski, Aleksandra Tarka, Gaja Trojanowska, Helena Pyżanowska, Filip Purgał, Mikołaj Witkowski

Skład Zina: Klaudia Kośmider, Aleksandra Tarka

Redakcja: Aleksandra Tarka

Zdjęcia wykorzystane w publikacji zostały wykonane przez uczestników i uczestniczki warsztatów

NA Ł ROZPR

Czasem dopiero z dalszej perspektywy można dostrzec

siedzibę

diabelskich praktyk

